Nr. 206. We Lwowie Sobota dnia 27. Lipca 1895. Rok XXVIII.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego". Plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 centów miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 40 sr. gr. — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 50 franków — kwartalnie 20 franków.

Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca
Telefon Redakcji 171.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o godzinie 8 rano

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmują we Lwowie jedynie i wyłącznie:
Biuro Administracji „Dziennika Polskiego", Plac Marjacki l. 6 i 7 w domu pana Kiselki
We Wiedniu: pp. Haasenstein et Vogler, (Otto Maas) M. Dukes, H. Schalek, A Oppelik, Rudolf Mosse i J. Denneberg; w Berlinie, Frankfurcie, Kolonii Haasenstein et Vogler i G. L. Daube; w Hamburgu Karoly et Liebmann; w Paryżu: C. Adam 38 de Varenne.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit.)
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz 50 ct.
Prywatne korespondencje 12 i nekrologja 20 ct. od wiersza.
Drobne ogłoszenia 1½ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po 1 ct. od wyrazu.
Rekiamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

Kłopoty kolonjalne.

Lwów 26. lipca.

Zdarza się to bardzo często w państwach europejskich, że mężowie stanu, powołani do kierowania ich losami, nie mogąc sobie dać rady z kłopotami wewnętrznemi, starają się zdobyć wawrzyny na polu polityki zewnętrznej, by w ten sposób olśnić, lub przynajmniej otumanić opinję publiczną, zmusić ją, przynajmniej na chwilę, do zapomnienia o niedostatkach domowych i do radowania się zdobyczami zagranicznemi. Najnowsza polityka kolonjalna niektórych państw europejskich takie, a nie inne ma źródło.

W rzędzie tych państw odznaczają się w tej mierze przedewszystkiem Włochy, które, pomimo nieszczególnych swoich stosunków finansowych, nad któremi od dawna laborują, uznały za stosowne mieć także swoje kolonje, a skierowawszy się ku Massawie stały się przez kolonję erytrejską sąsiadem Abisynji. Owoż ta zdobycz kolonjalna nie mało już przysporzyła kłopotów Włochom, a sąsiedztwo negusa abisyńskiego należy snać do najniewygodniejszych.

Zapewne dla uregulowania stosunków sąsiedzkich zawarty został w r. 1889, między królem włoskim, a negusem włoskim, Menelikiem, „traktat przyjazny i handlowy między królestwem Włoch, a cesarstwem Etjopji." Traktat ten, znany także pod nazwą traktatu z Ucialli, nie był rezultatem wojny między dwoma sąsiadami w Afryce, lecz doszedł do skutku po rokowaniach pokojowych. Tembardziej zadziwiać musi, że znajduje się w nim artykuł XVII. następującej treści: „Cesarz Etjopji zgadza się, aby przy wszelkich układach, prowadzonych z innemi mocarstwami i rządami, posługiwać się pośrednictwem rządu króla włoskiego." Na tym artykule opierają się pretensje Włoch do rozciągania protektoratu swojego nad Abisynją. Tymczasem najpierw faktem jest, że przepis tego artykułu, mimo, że od zawarcia traktatu upłynęło blisko sześć lat, nigdy w praktyce nie był wykonany. Wprawdzie stosunki Abisynji z mocarstwami europejskiemi są nieliczne, ale byłaby się niewątpliwie już nastręczała sposobność korzystania z pośrednictwa rządu króla włoskiego, gdyby Abisynja uznała potrzebę tego. Atoli rząd Menelika nie uznawał nawet nigdy zobowiązań wynikających ze wspomnianego artykułu XVII, a w zeszłym roku dzienniki wrzekomo dobrze informowane stwierdzały, że pomiędzy rządem włoskim a abisyńskim istnieje spór co do tego artykułu, którego brzmienie w języku etjopskim ma być odmienne od tekstu włoskiego.

Istotnie sam przepis jest dość niejasny, a trudno nawet przypuszczać, aby władca, niezmuszony do tego zwycięstwem wojennem przeciwnika, pozwolił sobie w traktacie dobrowolnie zawartym, narzucić warunek, ograniczający jego niezawisłość. Przecież tu nie chodzi o żadnego kacyka afrykańskiego, lecz o władzę w kraju, który, od dawnego czasu chrześcjański, posiada cywilizację i nie da się w niczem porównać z dzikiemi plemionami Afryki.

W kwestji traktatu jeszcze jedną okoliczność uwzględnić należy, z powodu której traktat jest źródłem kłopotów Chodzi o stanowisko mocarstw wobec traktatu, a w tej mierze nie wszystkich mocarstw stanowisko jest jednakie. Według przepisu artykułu 34 aktu końcowego konferencji berlińskiej, z dnia 26. lutego 1885, która to konferencja zajmowała się rozgraniczeniem wpływu państw europejskich w Afryce, rząd włoski miał obowiązek uwiadomienia mocarstw, które brały udział w konferencji, o przepisie art. XVII. układu z Abisynją, ponieważ artykuł ten w sferze wzajemnych wpływów zaprowadzał zmiany. Rząd włoski poczuł się też do tego obowiązku, a prawie wszystkie rządy potwierdziły mu, iż art. XVII. przyjęły do wiadomości. Nawet Francja, która już wtedy z Włochami nie była na najlepszej stopie, nie zaprotestowała przeciw temu artykułowi.

Ale zgoła inne stanowisko zajęły trzy wielkie mocarstwa, mianowicie Rosja, Turcja i Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. Ostatnie powiedziały, że nie wziąwszy udziału w konferencji berlińskiej, nie widzą potrzeby czynienia czegokolwiek, co z tej konferencji wynika. Turcja, interesowana w Afryce, wogóle na uwiadomienie ze strony Włoch o artykule XVII. konferencji włosko-abisyńskiej, żadnej nie dała odpowiedzi. Rząd rosyjski zastrzegł sobie poczynienie pewnych zastrzeżeń przez swojego ambasadora w Rzymie. Rokowania w tej mierze toczyły się ustnie, ale faktem jest, stwierdzonym teraz świeżo przez dzienniki petersburgskie, iż rząd włoski nie posiada żadnej noty rządu rosyjskiego, potwierdzającej przyjęcie do wiadomości artykułu XVII.

Taki jest obecny stan rzeczy, a warto było go sobie uprzytomnić, w chwili, kiedy deputacja abisyńska bawi nad Newą, co przykre bardzo wywołuje wrażenie nad Tybrem. Abisynja wysunęła się znowu na wybitne miejsce polityki europejskiej, a prasa zapewne niejednokrotnie jeszcze będzie musiała nią się zajmować.

Reskrypt o konfiskatach gazet.

Reskrypt byłego ministra sprawiedliwości hr. Schönborna w sprawie praktyki konfiskacyjnej, odczytany na przedostatniem (piątkowem) posiedzeniu izby przez kierownika ministerstwa sprawiedliwości, brzmi jak następuje:

„W licznych, czy to w izbie poselskiej wniesionych interpelacjach, czy też ministerstwu sprawiedliwości wręczonych podaniach, podnoszone są skargi, że organa, mające sobie powierzony nadzór nad prasą, nie rzadko zarządzają konfiskatę perjodycznych pism rzekomo bez słusznego powodu, lub zgoła dowolnie, albo też, co najmniej, że nadzór nad perjodyczną literaturą fachową tak przez ciągłą surową kontrolę jednego pisma, jak z drugiej strony, przez zbyt powolne osądzanie pism innych, wykonują w sposób tak nierównomierny, że żalący się sądzą, iż mają prawo skarżyć się na stronniczość władz państwowych Okoliczności te są powodem, że upraszam starszą prokuratorję państwa o uwiadomienie podwładnych prokuratoryj o następujących zarządzeniach:

Warunkiem wszystkich przepisów o postępowaniu w sprawach prasowych, z wyjątkiem §§. 493 i 494 u. pr., jest subjektywne dochodzenie. Wymagają one zatem, aby skonfiskowane pismo, lub artykuł, z powodu którego zarządzono konfiskatę, zawierał wszystkie w ustawie karnej wyszczególnione znamiona karygodnej czynności, jakie prokurator w powyższym artykule upatruje i to w równej mierze, jak każde inne oskarzenie wniesione z powodu przestępstwa, nie za pośrednictwem druku popełnionego. Z tego, na procedurze karnej opartego warunku, wynika, że prokurator, lub władza policyjna mogą konfiskatę perjodycznego pisma tylko wówczas zarządzić, gdy w treści uzasadnione przekroczenie ustawy daje podstawę do subjektywnego dochodzenia. Zaniechanie wdrożenia subjektywnego dochodzenia może być uzasadnione w powyższym stanie rzeczy, wykluczającym subjektywne dochodzenie, publicznym interesem, podczas gdy okoliczność, że uznanie pisma za karygodne, opiera się na wnioskach niewynikających koniecznie z treści takowego, nie usprawiedliwia w sposób dostateczny zarządzonej konfiskaty i dobrowolnego ograniczania się do objektywnego dochodzenia.

Streszczając powyższe uwagi, zarządzam, że na przyszłość karygodne czynności, popełnione za pomocą druku, z uwzględnieniem §. 493 u. p przy konfiskatach, nakazanych stosownie do powyższych wywodów, mają być z reguły ścigane na zasadzie subjektywnej, oraz, że subjektywne dochodzenie popełnionych przestępstw prasowych winno być przeprowadzone poważnie, szybko, energicznie, z sumiennem użyciem wszystkich tych środków, jakich procedura karna dostarcza dla zapewnienia wyniku śledztwa.

Tylko takie postępowanie może we wszystkich interesowanych wpoić przeświadczenie, że procedura karna rozróżnienie między przestępstwami popełnionemi za pomocą prasy, a temi, które popełniają ludzie łamiący szranki prawnego porządku, zna tylko o tyle, o ile 27 rozdział ustawy o procesie karnym, regulujący postępowanie w sprawach prasowych zawiera nieco odmienne przepisy".

Historjograf pruski o założeniu państwa niemieckiego.

Z powodu przypadającego na rok bieżący 25-letniego jubileuszu istnienia rzeszy niemieckiej panuje na rynku księgarskim istna powódź dzieł i dziełek poświęconych wydarzeniom z przed 25 lat. Z prac tych patrjotyczno historycznych bardzo mała liczba wynosi się nad poziom efemerycznych kompilacyj, w których fałszowanie historji walczy o lepsze z naiwnością przedstawienia rzeczy. Celem nałożenia cugli bujnej fantazji publicystów i recenzentów, przedstawiających genezę wojny francusko pruskiej wedle swego widzimisię, zabrał głos były urzędowy historyk Henryk Sybel i w dziele p. t. „Nowe wiadomości i objaśnienia dotyczące założenia rzeszy niemieckiej przez Wilhelma I.", opracowanem na źródłach urzędowych „prostuje" niejedno mylne wyobrażenie, rozświeca kwestje sporne i niejasne

Nie jest zamiarem naszym wdawać się w polemikę z urzędowym historjografem, ani krytycznie oświetlać jego poglądy i interpretacje, chodzi nam tylko o to, ażeby czytelnicy obeznani z historją wojny francusko-niemieckiej wedle źródeł najrozmaitszych, zapoznali się także z pracą, w której ścisłość i prawda historyczna dostosowuje się nieradnie do aspiracyj prusko-niemieckich. Przypatrzmyż się tedy wypadkom, poprzedzającym założenie i towarzyszącym ufundowaniu cesarstwa niemieckiego przez pryzmat eks urzędowego dziejopisa pruskiego.

P. Sybel zajmuje się nasamprzód stanowiskiem Austrji wobec zatargu prusko francuskiego. Uwzględniając wyraźnie sojusz istniejący obecnie między cesarstwem niemieckiem a Austro-Węgrami, zapewnia Sybel wbrew twierdzeniu Konstantego Roeslera, iż w roku 1870 nie poparła Austrja Napoleona wyłącznie z miłości do pokoju, a nie w braku powodów do wojny. Jakiej natury było to pokojowe usposobienie pokonanej pod Sadową antagonistki Prus, okazuje się z przytoczonej przez historyka urzędowego korespondencji ówczesnego szefa dyplomacji austrjackiej, hr. Beusta, z której wynika, iż rząd austrjacki odrzucił co prawda ofertę Napoleona, który zapragnął zawrzeć z Austrją przymierze zaczepne, — że atoli głównym powodem tej odmownej odpowiedzi był wzgląd na rozpoczętą codopiero organizację wielojęzycznej monarchji, co ściślej jeszcze zdefinjował arcyksiążę Albrecht, który obradując z Napoleonem nad wspólną akcją przeciwko Prusom, udowodnił temuż wprost, że ani Francja, ani Austrja nie były dostatecznie uzbrojone do prowadzenia wojny. To, oraz pokojowe enuncjacje cesarza Franciszka Józefa, aż nadto przekonują Sybla o pokojowym charakterze ówczesnej polityki austrjackiej.

Obszerniej, niż należało się spodziewać, omawia Sybel ówczesny stosunek dyplomacji francuskiej do pruskiej. Wywody odnośne urzędowego historyka są kubłem zimnej wody na rozpalone głowy szowinistów niemieckich, znęcających się w swoich pamfletach „patrjotycznych" nad nieszczęśliwym cesarzem i cesarzową Francuzów. Ohydne anegdoty o „krwiożerczej" Eugenji i o „butnym" Napoleonie zamilkną chyba teraz wobec niepodejrzanego świadectwa, jakie wystawia parze cesarskiej taki ultra pruski historyk, jak Sybel. Twierdzi on bowiem z całą stanowczością, iż ówczesne stronnictwo wojenne w Paryżu reprezentowali głównie minister spraw zagranicznych, książę Gramont, osobisty wróg Bismarcka i minister wojny, Leboeuf. Cesarz zaś, był na początku lata 1870 roku, wskutek ciężkiej choroby tak fizycznie osłabiony i podupadły duchowo, że wobec machinacyj wojowniczych ministrów zachowywał zupełną apatję. Tego złamanego, niezdolnego poruszać się człowieka, popchnięto do wojny wbrew jego woli, a gdy wypadła nieszczęśliwie, nie zawahał się lekkomyślny Gramont zrzucić odpowiedzialności za nią na skołataną głowę cesarza. Sybel przytacza kilka przykładów bezprzykładnej niesumienności i bezskrupulatności Gramonta. I cesarzowę Eugenję skrzywdzono zarówno, jak Napoleona: Francuzi i Niemcy upatrywali w niej megerę, która rozpaliła żagiew wojny i z dziecinną radością śledziła postępy krwawego dramatu. Gramont, a za nim Lano i Geffcken, posunęli się nawet do twierdzenia, iż niedozwolonemi środkami wykluczyła ona pokojowo usposobionych ministrów z ostatniego, rozstrzygającego posiedzenia, byle zapewnić większość stronnictwu wojennemu; nadto usunąć miała telegram Benedetti'ego, ambasadora francuskiego przy dworze pruskim, a bezzwłoczne opublikowanie tej depeszy byłoby zapobiegło wybuchowi. Depesza z dnia oznaczonego przez onych pseudohistoryków wcale nie istniała, jak wykazuje Sybel, tak samo wszystkie inne oskarzenia zaliczyć trzeba do rzędu plotek.

W rzeczywistości nienawidziła cesarzowa wojny z głębi serca, jeżeli zaś — co wykluczonem nie jest — głosowała w radzie wojennej za wojną, to spowodowały ją do tego fałszywe informacje, otrzymane od Gramonta o zajściach w Ems, wskutek których nabrać musiała przekonania, że refuzja, która spotkała Benedetti'ego, była obrazą Francji, którą należało pomścić krwawo. Na decyzję jej wpłynęły więc wyłącznie względy polityczne, nigdy zaś żądza laurów wojennych: że postanowienia swego nie uczyniła z lekkiem sercem, o tem świadczy bliższe jej otoczenie.

W ostatnim rozdziale polemicznego dziełka, rozbiera Sybel politykę ubóstwianego księcia Bismarcka. Urzędowy historyk stara się za pomocą niemałego zasobu djalektyki zbić mianowicie historjozoficzne badania Delbruecka i Brandenburga, którzy, opierając się na świeżo ogłoszonych zapiskach króla rumuńskiego, wyrażali przypuszczenie, że hrabiemu Bismarckowi nie było tajnem od samego początku, jak dalece jest Francja przeciwną kandydaturze księcia Leopolda, a przecie popierał ją, upatrując w tem korzyść Prus, ba, nosząc może w głębi serca pragnienie wojny z Francją, aby przyspieszyć zjednoczenie Niemiec. Sybel przyznaje pierwsze, interpretując atoli odmiennie zapiski króla Karola rumuńskiego: kanclerz, oraz ojciec księcia Leopolda, uważali Napoleona raczej za przyjaciela hohenzollerskiego księcia, połączonego z nim związkami krwi, aniżeli za wroga i ani w przybliżeniu nie przewidywali wybuchu wojny z powodu tej właśnie kwestji. Bismarck nie tęsknił za wojną, pragnął on długą pracą pokojową w związku celnym zwalczyć partykularystyczne dążności Niemiec południowych, a w pracy tej była dlań wojna tylko przeszkodą. Podczas zatargu nie zmienił swoich poglądów: usiłując uniknąć wszelkiej bezpotrzebnej prowokacji, postawił sobie przecie za zadanie strzedz honoru Prus. W tem był istotnie niewzruszony; ponieważ zaś postawa rządu francuskiego stawała się coraz bardziej wyzywającą, a nadto Gramont i Ollivier zaalarmowali opinją publiczną w Niemczech i Francji hałaśliwemi mówkami w izbie, więc też wojna wybuchła ze względu na machinacje Bismarcka.

Ostatecznie pragnie Sybel dowieść studjum swojem, że: 1. W lecie roku 1870 nie była Austrja ani zdolną, ani usposobioną do wojny zaczepnej przeciwko Prusom; 2. stronnictwo wojenne w Paryżu reprezentowali Gramont i Leboeuf, gdy para cesarska skłonną była do pokoju; 3. Bismark nie spodziewał się, że kwestja następstwa tronu hiszpańskiego wywoła wojnę; 4. polityka Bismarcka była na wskróś pokojową; 5. odpowiedzialność za wojnę spada na ministrów francuskich.

Z wycieczki polskiej do Poznania.

Inowrocław 23. lipca.

List dzisiejszy wysyłam z Inowrocławia, dopiero tutaj bowiem znalazłem chwilę wolną, ażeby zasiąść do biurka i spisać wrażenia czwartego dnia wycieczki.

Po serdecznem pożegnaniu w Poznaniu, gdzie na dworzec kolejowy odprowadziło nas znów mnóstwo osób, wyjechaliśmy koło godz. 7. rano w dalszą drogę i po jednogodzinnej podróży przybyliśmy do starego grodu Lecha, tj. do Gniezna. Na dworcu oczekiwał nas tamtejszy komitet, powitanie jednak ograniczyło się tylko do uścisku dłoni, gdyż policja tutejsza zabroniła stanowczo wszelkich owacyj. Na pobyt nasz w Gnieźnie wyznaczono w programie zaledwie trzy godziny — przeto nie zwlekając długo, udaliśmy się do głównego celu zatrzymania się tutaj, mianowicie do gnieźnieńskiej katedry, której dwie wyniosłe wieżyce już z daleka zwracały naszą uwagę. Do świątyni tej, jednej z najsławniejszych w Polsce, bo wystawionej jeszcze przez Mieczysława I. w latach między 966, a 977 — zbliżaliśmy się z czcią najgłębszą i wzruszeniem. Zdało nam się, że z starych murów tego wspaniałego domu bożego przemawiają do nas wieki całe świetnej przeszłości narodu, że nad nami unoszą się duchy pierwszych krzewicieli chrześcjaństwa w Polsce, złożonych tu na wieczny spoczynek: św. Wojciecha i Dąbrówki, żony Mieczysława I. Przed wspaniałym grobowcem św. Wojciecha, wystawionym w środku nawy głównej, odprawiała się właśnie msza św. i wysłuchaliśmy jej tedy w skupieniu ducha, poczem dopiero rozpoczęliśmy pod przewodnictwem kilku miejscowych duchownych zwiedzanie świątyni.

Gdybym chciał opisać to wszystko, co dzięki uprzejmości naszych przewodników oglądaliśmy w tej Mekce polskiej, gdybym chciał przenieść, na papier te wszystkie wrażenia, jakie przejmowały nasze dusze w ciągu dwugodzinnej wędrówki po tumie gnieźnieńskim — musiałbym napisać niejeden list, ale chyba książkę całą. Ciekawych odsyłam do znakomitego „Przewodnika po Gnieźnie i jego kościołach", napisanego przez księdza Stanisława Gdeczyka, a jestem pewien, że po przeczytaniu tej książeczki nie znajdzie się nikt, ktoryby nie uważał za swój obowiązek bodaj raz w życiu tutaj zagościć.

Zwiedzanie katedry — naturalnie tylko pobieżne, bo o innem w tak krótkim czasie nie

---

(17)

NA STEPACH.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE z XVIII. WIEKU

napisał

FR. RAWITA.

(Ciąg dalszy.)

— Ten to zawsze swoje popędza... Wcześnie — napijcie się miodu, późno — napijcie się miodu, wesoło — napijcie się miodu, smutno — i na to jest rada: na frasunek dobry trunek...

Orun, rozweselony nieco, brodę gładził i uśmiechał się.

— Nu? Albo to nieprawda?

Tymczasem do karczemki doszli. Większa część ludzi już się do domu rozeszła, zostali tylko wytrwalsi amatorowie miodu, piwa i wódki, zgromadzili się wszyscy w izbie szynkownej i na niedawny temat rozmowę prowadzili. Hrycia i Hnatka, jako najbliższych sąsiadów, Orun traktował z odznaczeniem; pod pozorem, że w szynkowni miejsca nie było, zaprosił ich do swego pokoiku, gdzie były łóżka jego, bałabusty i dzieci. Przy okienku stał olchowy stolik, Orun przysunął doń dwa zydelki, Hrycia i Hnatka na nich posadził. Nie działo się to bez kozery, arendarz nadskakiwał, czy się czego nie dowie.

— A to stary Matwij już do nas nie wróci, czy co? — zapytał Hryć.

Hnatko łokciem go trącił

— Jaki Matwij? Wiesz przecie, że pojechał pokłonić się relikwjom do Kijowa — jak pojechał, to i wróci...

Hryć nie mógł z początku zrozumieć, o co to chodzi; oczy na Hnatka podniósł i wpatrywał się, a Hnatko pod stołem go nogą trącił. Zagadkowość tej sceny objaśniała się dość prosto: za plecami Hrycia stał Orun, uśmiechał się, jak lis i małe uszki wysuwał naprzód, aby coś posłyszeć. Spostrzegł się na całej grze odrazu, domyślił się tego, czego dopytać nie mógł, ale nie zdradził się ani słówkiem.

Szaro już było na dworze, kiedy obaj pryjaciele z karczmy wyszli i nawrócili na drogę do Moszen.

— Otóż, wyrwałeś się! — rzekł Hnatko.— Nie możesz trzymać języka za zębami .. po co żydowi wiedzieć, czy nazywa się Matwij, czy nie Matwij? Ty wiesz, co żyd, to sobaka; on ci pokazuje zęby i twarz, ale nie duszę, nie zajrzysz, co tam kipi... Wyspowiada ciebie, jak ksiądz, a potem do starosty pójdzie i wyśpiewa nietylko to, co wie, ale i to, czego nie wie...

— A któż jego wiedział? — Hryć na to.

— Trzeba być ostrożnym! — Widzisz jakie czasy! Można Bóg wie za co i po co zadyndać na szubienicy...

Szli powoli do Moszen i rozmawiali.

— A tyż czego spóźniłeś się? — Bajdykowałeś?... — Hryć wąsa podkręcił...

— Zagadałem się z tą pohaną Handzią...

Hnatko szedł pomału i pod nogi patrzył.

— Zawsze zagadujesz się.., jednego dnia z pohaną, drugiego z barną, a jak dobrze pójdzie, to jednego dnia z obiema ..

Hryć uśmiechnął się

— Nie plunę przecie w oczy i nie ucieknę...

— Rozleniwiejesz zupełnie — odrzekł mu na to Hnatko — i, prawdę powiedziawszy, grzech tak robić, jak robisz. Biegałeś do Marusi, jak po wodę święconą, bałamuciłeś, gadałeś wszystkim, że swatów poszlesz, a jak dziewczynę kumy na języki wzięły, ty wtedy do drugiej w prysiudy..

— Ot, rozgadał się! Co ci się stało? Tak mi Marusia w głowie, jak śnieg zeszłoroczny. Ja mówiłem, że ręczniki poszlę? Nieprawda! Baby coś gadały ze sobą — to co innego... Jaka teraz żeniaczka? Za tydzień, dwa, a najdalej na wiosnę, trzeba będzie konia i w pole — a żonę — cóż? Zostawię na opiece Lachow?

Hnatko spoważniał nagle jeszcze więcej.

— Słuchaj, bracie: mnie Marusia także ani siostra, ani narzeczona; to też nie o to chodzi, ale muszę ci szczerze powiedzieć, żeś człowiek nieuczciwy. Co ty jej mówiłeś? Nie wiem, ale pamiętam, coś mnie nieraz mówił; mówiłeś, że ci dziewczyna w serce wpadła, że się żenić z nią będziesz... Mówiłeś tak? Prawda?

Przyparty do muru, wahał się z odpowiedzią.

— Taj cóż, że mówiłem? Czy to jedna do serca wpadnie, a żenić się przecie nie można z każdą .. Sam widzisz, jakie czasy!

— To inna rzecz, a tamto inna...

— Nie inna... nie chcę się żenić!

— I dobrze zrobisz — rzekł Hnatko po namyśle — takiemu wiatrogonowi szkoda uczciwej dziewczyny.

Wkrótce weszli do miasteczka i pomiędzy chatami zginęli.

W karczemce Oruna, jak zwykle, trwała pijatyka do północy; żyd zawsze ochoczo usługiwał wszystkim, a kiedy ostatnich maruderów z karczmy wyprawił, kazał stróżowi okiennice zamknąć, ale światła nie gasił i spać nie poszedł. Chajka pokładła spać bachory, okryła bebechami, wywróciła skórzaną kieszeń pełną pieniędzy, przeliczyła wszystko, rozklasyfikowała srebrne od złotych i miedzianych, poukładała w kupki na małym stoliku i już po dwakroć wołała na Oruna, aby przyszedł jeszcze raz obliczyć i schować — ale Orun nie przychodził. Zbył ją jednem słowem: „poczekaj", a sam, założywszy obie ręce za pas, w milczeniu przechadzał się po izbie i myślał, myślał, myślał... Miał o czem myśleć: stary kobzarz i rozmowa na dworze, spędzały mu sen z powiek. Nie mógł zdecydować się powiedzieć o swoich podejrzeniach Chajce, aby jej zbytecznie nie przestraszać, ale czuł, że na jakiś stanowczy krok zdecydować się trzeba.

Chaja kilka razy wyglądała zafrasowana z drugiej izby, ale — widząc, że Orun chodzi po szynkowni jednakowo zamyślony i spojrzeć na nią nie chce — zbliżyć się nie śmiała. Nareszcie wysunęła się naprzód, stanęła na progu i pytające spojrzenie skierowawszy ku chodzącemu mężowi, spytała trwożliwie:

— *Wusydues?*

Na to zapytanie, Orun zatrzymał się pośrodku izby i z przestrachem wymówił:

— A paskidne geschichte... a hajdamaki...

Rzeczywiście zanosiło się na paskidne geschichte... Orun zwąchał pismo nosem. On tych hajdamaków, którzy w pojedynkę włóczyli się stepami i wertepami od karczmy do karczmy, nie bał się, ani tych, co się nocą wymykali na zdobycz, bo z tymi żył w przyjaźni. Ci wszystko to, co narabowali, regularnie przychodzili zastawiać u niego, lub przepić; on zwęszył coś straszniejszego... Z zachowania się, z mowy kozaków i włóczęgów domyślał się, że się coś gorszego święci, miał więc słuszne powody do zaniepokojenia się.

Słowa wymówione przez Oruna: „a hajdamaki", jakby piorunem raziły Chajkę; zbladła nagle, oczy nieruchome utkwiła w męża, jakby się pytała: cóż teraz robić będziemy i stała tak chwilę, jak posąg Nie pytała, gdzie hajdamaki, ile, czy jest obawa, że na nich napadną, bo to wszystko zawarte było w jej pytającem spojrzeniu. Nagle podniosła ręce do głowy i za skronie ścisnęła się, potem od skroni ręce odjęła i w obie dłonie klasnęła z lekka, nareszcie, ręce znowu bezwładne opadły.

Orun stał pośrodku szynkowni także gdyby niemy, błędnem spojrzeniem wodził po izbie, na przestraszonej Chajce zatrzymując je chwilami nareszcie rzekł niby sam do siebie:

— Trzeba radzić...

I poszedł do drugiej izdebki. Usiadł razem z Chajką przy stoliku i oboje zaczęli ułożone w kupki przeliczać pieniądze, rozmawiając na temat, który ich tak interesował obojga. Już prawie przededniem ostatni raz koguty piać poczęły. Orun zwrócił się do Chajki..

— Idź spać... jutro jeszcze dzień wielki...

Chajka zrzuciła tylko obuwie, Orun tylko chałat wierzchni i oboje wsuwali się pod pierzyny po kolei i ginęli tam. Wkrótce wszystko już spało w karczemce leśnej.

Minęło kilka dni trwogi i narad, z których oboje nikomu nie zwierzali się. Czasem tylko w trakcie długich narad ze sobą wymykał się im z ust wyraz Niemirów i przytem różne imiona żydowskie. Nie było w tem nic dziwnego. W Niemirowie Orun miał krewnych, rodzinę, sam ztamtąd pochodził, tylko szukając chleba po świecie, aż tu się zabłąkał od lat kilkunastu i dorobił się — jak mówili ludzie — majątku, chociaż bogactwa owego nigdy i nigdzie widać nie było. Całem bogactwem — jak się zdawało — Oruna było kilka kóz i krów, para chabetów i dobry, na żelaznych osiach furgon, chociaż z zewnątrz wyglądał bardzo niepokaźnie. Furgonem tym Orun i Chajka odbywali podróże do miasta, dla sprzedaży trochę nabiału i załatwienia niewielkich potrzeb domowych. Od kilku dni Orun posyłał stróża paść krowy w lesie, a sam chyłkiem wymykał się do stajenki i owsa koniom podsypywał bez miary, konie były takież niepokaźne jak i furgon, ale młode, zdrowe i bez wad. Konie te odbywały wszelką posługę domową: woziły ze stepu siano dla krów, wodę z Dniepru do picia, studni w pobliżu nie było, a także i węgle do miasta, bo Orun miał węglarnię i wypalaniem węgli się trudnił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

mogło być mowy — zabrało nam około dwóch godzin czasu. Opuszczając progi świątyni, podziękowaliśmy serdecznie naszym zacnym przewodnikom za ich trudy i ruszyliśmy z powrotem na dworzec kolejowy. Po drodze zatrzymaliśmy się na pół godziny w hotelu europejskim, gdzie komitet gnieźnieński urządził dla nas śniadanie. Pomimo krótkiego czasu, wzniesiono podczas śniadania kilka toastów. Radca konsystorjalny, Klepaczewski pił na cześć gości, na co odpowiedzieli mu p. Starkel toastem na cześć Wielkopolan, p. Darowski na cześć kobiet i dziewic Wielkopolskich, a włościanin Bojko na cześć duchowieństwa. Ostatni toast „Kochajmy się", wzniósł w patrjotycznem i pełnem zapału przemówieniu, proboszcz kościoła farnego w Gnieźnie, ksiądz Sołtysiński.

O god. $11^3/_4$ przed poł. znaleźliśmy się znowu wpociągu i żegnani gromkiemi okrzykami „niech żyją!" puściliśmy się w dalszą pielgrzymkę — na Kujawy. W stolicy ziemi kujawskiej, Inowrocławiu, czekało nas wspaniałe przyjęcie, które przeszło nietylko najśmielsze nasze oczekiwania, ale nawet, wszystko to, czegośmy doznali w ciągu całej naszej dotychczasowej pielgrzymki. Na dworcu przyjęło nas prawie całe obywatelstwo miejskie i okoliczne. Obywatelstwo to przysłało nadto kilkadziesiąt swoich prywatnych powozów, któremi odwieziono nas do „Hotelu polskiego." Inowrocław zrobił na nas bardzo miłe wrażenie. Jakkolwiek liczy podobnie jak Gniezno, tylko 20.000 mieszkańców, mimo to jednak ma wszelkie pozory wielkiego miasta, o szerokich i jasnych ulicach, z wielkiemi i ładnemi gmachami, z bogatemi sklepami i z mnóstwem drzew i ogrodów. Korzystne to wrażenie podnosiła niemało okoliczność, że prawie całe miasto było wspaniale dekorowane flagami, festonami z zieleni i rozmaitemi emblematami. Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy pod okazałemi bramami i łukami tryumfalnemi.

W pierwszej chwili mieliśmy złudzenie, jakgdyby to na nasze przyjęcie miasto przybrało takie odświętne szaty. Ale złudzenie to wkrótce się rozpierzchło. Wszystkie flagi były o barwach pruskich i państwowych, wszystkie napisy niemieckie, emblematy zaś przedstawiały herby rzeszy, orły pruskie i różne słonie, sępy itp. okazy zoologiczne z tarczami strzeleckiemi w środku. To chyba nie dla nas...

Tajemnica wyjaśniła się wkrótce. Oto właśnie ukończył się był w Inowrocławiu zjazd niemieckich towarzystw strzeleckich i Niemcy urządzili z tej okazji wspaniały „fest", chcąc zademonstrować światu, że to ziemia czysto germańska, że nigdy inną nie była i zawsze taką pozostała. Dziwnem zrządzeniem losu w 10 minut po odjeździe germańskich „schützów", przyjeżdżamy my, skromni pielgrzymi z przeciwległych końców naszej ojczyzny, i wprawdzie nie zastajemy miasta przybranego w nasze barwy narodowe, bo na to by nie pozwolono, ale ta ziemia cała rusza się nagle na powitanie nasze, wysyła na przeciw nas wszystko, co ma najlepszego, raduje się nami tak, jak własnemi dziećmi i wielkim głosem woła: „Nieprawda! Jam nie germańska! Byłam polską, jestem i pozostanę pomimo wszelkie wasze zakusy, choćbyście mnie całą pomalowali w czarne i białe pasy, choćbyście nałożyli na mnie cięższe jeszcze okowy, aniżeli dziś zmuszona jestem dźwigać!"

Takiego wrażenia doznaliśmy przy wjeździe do Inowrocławia i mimowoli wzbudziło się w nas poczucie dumy i zadowolenia, żeśmy tu przybyli i przybyli tak w porę.

W hotelu czekały już na nas zastawione suto stoły. Wejście do hotelu i sala, w której mieliśmy spożyć obiad, udekorowane były ślicznie, ale już wyłącznie na cześć naszą. I znowu przypadkowy zbieg okoliczności sprawił nam miłą niespodziankę, jakby zapowiedź lepszej przyszłości. Oto zieleń i kwiaty, witające nas, były świeże i zdrowe — na ulicach zaś zwisały zwiędłe i opadające festony na przyjęcie germańskich gości..

Obiad odbył się z wielkim pospiechem, wkrótce już bowiem musieliśmy odjeżdżać do Kruszwicy. Ale i tutaj nie obeszło się bez toastów, pięknych i podniosłych, a pełnych serdeczności. Powitał nas imieniem ziemi kujawskiej dyrektor cukrowni w Kruszwicy, pan Grabski, po nim toastowali pp. Dembiński na lepszą przyszłość naszej sprawy. Biechoński wzniósł zdrowie Kujawiaków a poseł dr Krzemiński: „Kochajmy się!"

O godz. $2^1/_2$ osobnym pociągiem wyruszyliśmy do Kruszwicy. Wrażenia z tej pięknej wycieczki opiszę w następnym liście. *b—l.*

Z naszych zdrojowisk.

Krynica w lipcu.

Byłem przed kilku laty w uroczem tem zdrojowisku i wywiozłem wówczas jak najprzyjemniejsze wspomnienia z Krynicy. Tak się jakoś złożyło, że i pogoda dopisywała i towarzystwo dobrało się tak miłe i wesołe, że czas leciał szybko i ani oglądnąłem się, gdy wybiła godzina odjazdu. Smutny opuszczałem też góry i lasy tutejsze, żal mi było tej swobody, tej ciszy i spokoju, jakie umysłem owładają, wreszcie tego powietrza, z którem człowiek wdycha jakby nowy zasób sił na dalsze mozoły życia.

Gdy zatem los zrządził, iż tego roku miałem znowu wyjechać do Krynicy, oczekiwałem dnia wyjazdu z dziecięcą prawie niecierpliwością, a rojeniom i marzeniom o chwilach, jakie tu spędzę, i końca nie było. Wreszcie nadszedł dzień tyle upragniony i wyruszyłem w drogę.

Już to przyznać muszę, że droga ta — zwłaszcza, gdy kto z dalszych stron przybywa — wcale nie jest nęcącą i nawet tak ochoczo usposobionego człeka, jak ja, mogłaby zniechęcić, a mniej wytrwałych nabawić nawet jakiej choroby nerwowej. Jak powszechnie wiadomo, w całym świecie zarządy kolejowe wysyłają do bardziej uczęszczanych miejsc kąpielowych osobne pociągi. Z Wiednia do Karlsbadu urządzono świeżo luksusowy pociąg błyskawiczny — u nas ograniczono się na doczepianiu do zwykłych pociągów jednego jedynego wagonu! Oczywiście w czasie większej frekwencji nie wystarcza to, więc też pasażerowie, najczęściej nocą jadący, muszą się dusić, jak śledzie. Mówiono mi, że prośby o zwiększenie ilości takich wagonów kąpielowych, powtarzają się od lat — niestety bez skutku. Dziwnem mi się to wydaje — tłumaczę sobie bowiem, że gdy kolej jest własnością państwową, koleją tą zaś jeżdżą poddani tego państwa i to jeszcze jeżdżą w celu zwiększenia dochodów państwa — wydając więcej w kąpielach niż w domu — słuszną by było rzeczą, aby to państwo pomyślało też trochę i o wygodzie przejeżdżających — i uwzględniło, że są to przeważnie ludzie chorzy. Lecz widzę, że zanadto odbiegłem od właściwego przedmiotu mojej pisaniny i te odbiegłem zupełnie niepotrzebnie, bo jużcić ani ja, ani łaskawi czytelnicy moi nie żywią chyba nadziei, aby to się mogło w tym wieku zmienić na lepsze... Kolej państwowa nie spieszy się...

Ale oto i Krynica. Człek zapomina tu wnet o przebytych kłopotach i trudach podróży. Wesoło więc i pokrzepiony na duchu sadowię się w wygodnym i doskonale urządzonym hotelu „pod trzema różami", (jedynym w Krynicy, gdzie można dostać pokojów i na dnie, a nie na sezony tylko) i widząc rozpościerające się nad parkiem pogodne i jasne niebo, ruszam co centra zakładu, to jest na tak zwany „deptak."

Rojno tu i głośno. Muzyka pod dzielnem kierownictwem p. Wrońskiego „rżnie od ucha", gdzie zajrzę, widać ruch i życie, widać, że główny sezon w całej już jest pełni. Muszę się tu jednak przyznać, że mimo to doznałem jakiegoś na razie nie dającego się bliżej określić rozczarowania. Czułem, że czegoś brak, że to może już nie ta Krynica, którą poznałem przed laty, a która wówczas prawie urocze na mnie wywarła wrażenie! Odrzucałem z oburzeniem trapiącą mnie tę troskę — mówiąc sobie: „Ej bratku, postarzałeś się — wydaje ci się więc wszystko innem, mniej ładnem, mniej pociągającem. Wszak ta sama wspaniała kopuła niebios przykrywa ten uroczy zakątek naszej ziemi, wszak to samo balsamiczne powietrze wdychasz do twej znużonej piersi — wszak ta sama zieleń ślicznych drzew, te same niebotyczne góry otaczają cię — wszak ci sami ludzie.."

Ba! ludzie!

Przed rokiem, czy przed dwoma laty wpadła mi była w rękę broszurka wydana nie pamiętam już przez kogo, a traktująca o Krynicy. Wyczytałem w niej mnóstwo rzeczy mniej ciekawych, jedno tylko zwróciło moją uwagę, to jest fakt, że zdrojowisko poszło pod zarząd namiestnictwa, i że z tego powodu autor robił sobie wielkie nadzieje i przepowiadał mu świetną przyszłość. Smutne moje refleksje naprowadziły mi na myśl ową broszurkę. „Miły bracie, pomyślałem też, widać coś cię kłuje — coś ci dolega — czegoś grymasisz — ot raczej szukaj i ciesz się tem wszystkiem, co tu znajdziesz nowego i ulepszonego".

I puściłem się w wędrówkę po całym zakładzie. Trwała ona dnie... Przy końcu chciałem sobie kupić latarkę i udawać Djogenesa — lecz nauczony jego smutnem doświadczeniem, dałem za wygranę,.. Byłbym jednak niesprawiedliwym, gdybym zamilczał o tych nowościach. Pierwsza z nich jest nader pożyteczna i ważna dla zakładu, a wprowadzono ją dzięki staraniom i zapobiegliwości zarządcy zakładu p. Sokołowskiego, który o ile może i jak może wśród nader trudnych tutejszych warunków, pracuje z całem zaparciem się nad utrzymaniem Krynicy na tej wyżynie, na jakiej jego sumienna praca i niezmordowana, a pełna rozumu, zapobiegliwość b. lekarza zdrojowego, dra Zieleniewskiego, zakład ten postawił. Nowością tą są łazienki III klasy.

Kto zna choć trochę Krynicę, zrozumie, jaką tem sprawiono wygodę gościom — których jakość — jest niestety, bardzo rozmaita. Zdaje mi się jednak, że obecnie obie strony są z tej nowości zadowolone. Należałoby tylko postarać się o powiększenie łazienek, gdyż daje się dotkliwie odczuwać [illegible] zdarza, że znaczna liczba kuracjuszów po dni kilka kąpać się z braku wanien nie może. Drugą nowością — jest nowy most... Pan Antoni Fleissman [illegible] w restauracji „domu zdrojowego", a przyznać trzeba, iż jak dotąd wywiązuje się ze swego ważnego zadania wcale dobrze. Gdyby tylko zarząd Krynicy zechciał [illegible]

Lecz jeszcze jedną nowość znalazłem w Krynicy. Powstały tu najrozmaitsze pensjonaty. Nie jestem im przeciwny i sądzę — nikt inny też niemi się nie gorszy. Przepełnienie, jakie w tych pensjonatach panuje, jest też najlepszym dowodem, że publiczność ich chętnie poszukuje. [illegible]

[illegible]

czem. Potrzeba się raz tej rutyny pozbyć, potrzeba zaufać miejscowemu zarządowi, znającemu najlepiej miejscowe potrzeby. Nie można ani krępować jego swobody, ani ukrócać władzy, bo tu nie znajomość ogólna, ale przeważnie i najczęściej w grę wchodzą sprawy czysto lokalnej natury.

Nie wątpię, że gdyby władza wyższa zdecydowała się raz na utworzenie takiego miejscowego, należycie upełnomocnionego zarządu, zakład zyskałby na tem ogromnie.

„Da liegt der Hund begraben"... powiedział ktoś, wskazując na deptak i na okalające go budynki — i miał rację. Ani we Lwowie, ani we Wiedniu nikt tego nie dokaże — albo dlaczego?... dokaże, ale *„begraben"* będzie nie... pies. Lecz dotknąłem zanadto smutnej nuty..., a że na frasunek — dobry trunek, pomknąłem więc ku handelkowi p. Karola Millera (kupca z Nowego Sącza) w którym tłumy pobożnych Kryniczan posilają się wybornymi przysmaczkami i pokrzepiają doskonałym koniaczkiem lub winkiem...

„Gdyby nie ten poczciwy Miller", słyszysz często na deptaku — i prawda — znalazłem więc i ja pociechę. — Zaraz mi jakoś raźniej i weselej i zapomniawszy o złem, widzę tylko tę śliczną, uroczą Krynicę, kąpiącą się w promieniach słońca — owianą ożywczem tchnieniem gór ją okalających i zawsze ponętną, zawsze miłą, bo pełną naszych pań — a gdzie jest Polka... tam chyba musi być najpiękniej — przyznał to nawet Bismarck.

Wyczytałem w którejś gazecie, że nie ma tu życia towarzyskiego. Nie powiedziałbym tego — jest ono, tylko nieco za rozstrzelone, ale na to już rady może i nie ma, bo zbyt wielką liczbę ludzi różnych stanów, trudno wprządz do jednego rydwanu. Odbija się to po części i na urządzanych zabawach, jeżeli wspólny jakiś cel ludzi nie zjednoczy. Reuniony — chybiają też, koncerty natomiast udają się. — Przed tygodniem Wroński zgromadził wcale sporą ilość swych wielbicieli — świeżo zaś na koncercie chóru akademickiego z Krakowa, było pełniutko. — Tańce udały się też wybornie — daleko lepiej, niż sam... koncert. Nie wątpię, że inne w tym rodzaju zapowiedziane już rozrywki, udadzą się również.

Na zakończenie winienem dodać, że bawiący tu teatr stanisławowski cieszy się szczerem uznaniem, na co w zupełności zresztą zasługuje. Dyrektorowie, pp.: Antoniewski i Jaworski (Werner) stworzyli wcale dobrą i karną trupę, repertoar mają obfity i urozmaicony, a na każdym kroku znać wprawną ich i troskliwą rękę.

Na sam koniec ploteczka. Przed kilku dniami jakiś żartowniś rozgadał, że przyjechał namiestnik. Warto było widzieć, jaki ruch zapanował w zakładzie — wszystko wszędzie poczęło się myć, zamiatać, szurować — nawet, jak ktoś zauważył, ogrodnik począł przywiązywać do pustych pieńków kwiaty ze sławnej nowo wybudowanej cieplarni — jednem słowem, kto nie wiedział, o co rzecz idzie — mógł sądzić, iż chyba... lecz mniejsza o to — co kto sądził — namiestnik nie przyjechał — a ja nanudziwszy dosyć już łaskawego czytelnika — żegnam.

M. Ch.

KRONIKA.

Pamiętajmy o fundacji imienia Tadeusza Kościuszki.

Djarjusz lwowski.

Sobota 27. lipca.

Teatr letni: „Porwanie Sabinek." Początek o godz. $7^1/_2$ wieczorem.

Kalendarz Sobota (27.): Natalji p. Wschód słońca o godzinie 4. minut 34 zachód o godzinie 7. minut 35

Kalend. myśliwski. Wolno polować na jelenie, kozły (rogacze), ptactwo wodne i błotne w ogólności.

Z armji. Pułk dragonów nr. 3 ma przenieść się w jesieni na stałe leże do Krakowa.

Mianowania. Namiestnictwo zamianowało komisarzami nadzoru kotłów parowych: starsz. inżyniera Franciszka Dutkowskiego w Przemyślu dla powiatów: dobromilskiego, jarosławskiego, mościskiego i przemyskiego, a inżyniera Ludwika Regieca dla powiatu tarnobrzeskiego i mieleckiego.

Nowy teatr we Lwowie. Magistrat miasta Lwowa rozpisał już konkurs na plany nowego teatru we Lwowie, dla architektów polskich i ruskich, z terminem do 1 stycznia 1896. Nagrody wyznaczono trzy, a to: 6000 koron, 4000 koron i 3000 koron. Nazwiska jurorów ogłoszone zostaną na dwa miesiące przed upływem konkursu.

Stracenie mordercy. W środę (24. bm.) o godz. 6 rano w dziedzińcu budynku sądu obwodowego w Kornenburgu, stracono mordercę Franciszka Wondraszka, który zeszłego roku dopuścił się był strasznego mordu, z rabunkiem połączonego, w sam dzień wigilji Bożego Narodzenia. Przy akcie stracenia było obecnych około 150 osób; przed gmachem zebrały się tłumy ciekawych. Przybyło także kilku krewnych Wondraszka. Wpuszczono ich o godz. $^1/_4$6. do celi skazańca. Zamieniono tylko kilka słów. „Przebaczcie mi i bądźcie wszyscy pozdrowieni" — rzekł Wondraszek i odwrócił się od nich. W nocy usiłował skazany zasnąć, ale napróżno; ogarnął go sen dopiero około 4. nad ranem. Obudził się wszakże po upływie kwadransa i chodził po celi. Wkrótce przybył kapelan więzienny, aby odmówić modlitwę z Wondraszkiem. Potem odprawiła się msza św. w kaplicy więziennej, po której klęczał i modlił się skazany przed głównym ołtarzem, a potem przyjął komunję świętą. Kilka minut przed 6. odezwało się pukanie do celi; Wondraszek wiedział, że to palce kata uderzają we drzwi więzienne. Wyszedł więc z celi i dał sobie ręce związać: sprowadzono go z II. piętra na podwórze do stóp szubienicy. Był strasznie blady, ale szedł pewnym krokiem. W dziedzińcu była obecną komisja sądowa. Radca sądowy oddał skazańca w ręce kata. Wondraszek sam przysunął się plecami do szubienicy; ksiądz wśród przerażającej ciszy rozpoczął odmawiać uroczystym głosem słowa modlitwy: „W ręce Twoje Panie oddaję duszę moją." Kat spełnił tymczasem obowiązek; ośm minut trwała walka życia ze śmiercią. Kapelan krótko przemówił do obecnych, mówiąc między innemi: „Coby to była za zwierzchność, któraby zawsze przebaczała, a nigdy nie karała! Prawo w takim razie straciłoby na sile i poważaniu." Między obecnych rozdano drukowany wyrok.

W Zakopanem liczba gości, przybyłych do tego uzdrowiska po dzień 24. lipca r. b., wynosi 3071 osób.

Popis inżynierji wojskowej. W dniu 24. bm. przed południem, odbył się nad Wisłą koło Grzegórzek pod Krakowem, popis inżynierji wojskowej w wysadzaniu w powietrze przedmiotów zapomocą ekrazytu. Najciekawszem było rozerwanie wału kolejowego z szynami i progami, rozsadzenie grubego muru — przyczem wielkość otworu, wybuchem spowodowanego, naprzód była obliczoną, i wysadzanie miny kamiennej. Odbyto też ćwiczenia wodne z zastosowaniem ekrazytu do wysadzania mostów i łodzi.

Manewry wojskowe. W tych dniach rozpoczynają się w okolicy Krakowa manewry 12. dywizji piechoty; oprócz wojsk, stojących załogą w Krakowie, przybędą na te ćwiczenia samoistne bataljony pp. nr. 20 z Nowego Sącza, 56. pułku z Wadowic i pułku nr. 100 z Cieszyna. Manewry dywizyjne potrwają do 7. sierpnia. Następnie dnia 17. sierpnia, ewentualnie dnia 20. sierpnia br., rozpoczną się manewry dywizyjne i w brygadzie. Wezmą w nich udział: pułk piech. nr. 57 z Tarnowa i 13. bataljon strzelców z Bochni. Dnia 28. sierpnia przybędzie na manewry do Krakowa pułk dywizji artylerji nr. 1 z Wadowic. Wojska te zostaną pomieszczone cześcią w budynkach rządowych, częścią w gminnych, tak w Krakowie, jak w Podgórzu. Odbędą się też ćwiczenia konnicy w czasie od 31. sierpnia do 7go września; na ćwiczenia te przybędą dwa pułki konnicy, mianowicie pułk dragonów nr. 2 z Ołomuńca i pułk uł. nr. 2 z Tarnowa. Manewry konnicy odbędą się w okolicy Mogiły.

Miesiąc lipiec, który świeżo w historji zapisał się morderstwem Stambułowa, dał się już dobrze we znaki światu różnemi podobnemi wypadkami. Począwszy od wzięcia Bastylji w dniu 14. lipca 1789 roku, na lipiec przypadły: paryska rewolucja „lipcowa" 1830 roku, wojna austrjacko-pruska 1866 roku, a wreszcie i wypowiedzenie wojny francusko-pruskiej. W zamachach na monarchów i mężów stanu odgrywa też lipiec w bieżącem stuleciu niepoślednią rolę. Dnia 28. lipca 1835 roku dokonał Fieschi zamachu na króla Ludwika Filipa, wskutek czego zginął marszałek Mortier i trzynaście osób. Dawniejszy burmistrz, Tschech, zwrócił w dniu 26. lipca 1844 roku broń morderczą przeciw królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV., zaś dnia 14. lipca 1861 roku dokonał Oskar Becker w Badenie zamachu na życie króla Wilhelma I. Dnia 19. lipca 1872 roku spotkało to samo hiszpańskiego króla Amadeusza. W dniu 13. lipca 1874 roku, strzelił Kullmann do księcia Bismarcka w Kissingen, nakoniec dnia 2. lipca 1881 roku został śmiertelnie raniony prezydent Stanów Zjednoczonych, Garfield, przez mordercę Guiteau.

Zamordowanie pułkownika. Z Warszawy donoszą 25. lipca: Pod Wieruszowem na granicy prusko-rosyjskiej znaleziono zwłoki pułkownika rosyjskiej straży granicznej Iżykiewicza. Jest domniemanie, że zamordowali go przemytnicy.

W sprawie zwinięcia zakładów kontumacyjnych dla nierogacizny w Białej i w Krakowie, oraz odszkodowania, jakie z tego tytułu żąda miasto Biała, postawili dnia 12. bm. dep. Menger i tow. interpelację do rządu. Rząd nie mógł dać odpowiedzi ustnej

(4)

KOMITETY KONSERWATYWNE GALICYJSKIE w roku 1863.

(*Ustęp z II. tomu dzieła K. Bartoszewicza: Rok 1863 — Historja na usługach ludzi i stronnictw*).

(Ciąg dalszy.)

Czytamy również ciągłe narzekania na liczne wstrętne objawy. Nietylko, że wałęsali się ciągle uciekinierzy, którzy wszedłszy w granice Królestwa po paru dniach wracali, ale odbywały się nieustanne burdy, gry i pijatyki. Żołnierze i oficerowie, wojujący po knajpach, odbierali żołdy i szerzyli demoralizację. Dochodziło do tego, że sprzedawano efekta wojskowe. Wszystkiemu temu winien był brak dobrze urządzonej policji. Kraków pod tym względem odgrywał najsmutniejszą rolę; w nim demoralizacja dochodziła do szczytu. Tu, jak się wyraża jeden z raportów, mieli główną siedzibę „infamisi uciekający z boju, a klubujący i szynkujący w mieście".

Składki w Galicji na cele powstania, w formie czy to podatków, czy dobrowolnych ofiar, wpływały tak skąpo, że gdyby nie jednozgodność licznych źródeł, sądzić by można, że mamy do czynienia z mistyfikacją. Obwód przemyski od 1. lipca do 1. października 1863 roku złożył na cele powstania 1.100 złotych polskich, t. j mniej niż po 100 zł. na miesiąc. Największą ofiarę przez te trzy miesiące złożył obwód złoczowski w kwocie 3.500 zł., z którego to powodu Kazimierz Wodzicki nazwał ten obwód „opromienionym zasługą rzeczywistą" (Materjały III str. 156). Jak składki płynęły w zachodniej Galicji, dokładnie tego nie wiemy, ale zapewne nie obficiej niż we wschodniej. Po ogłoszeniu pożyczki narodowej i rozwiązaniu rady prowincjonalnej Galicji zachodniej, spotykam w „Materjałach" jedyny tylko dokument, świadczący o większej stosunkowo ofiarności. Ztąd też nietylko Galicja nie dostarczała pieniędzy Królestwu, choć nie ponosiła setnej części jego ciężarów, ale nie była sama w stanie pokryć swoich wydatków. Co krok więc natrafiamy na ślady, że z Królestwa do Rządu Narodowego, od naczelników województw, od dowódzców oddziałów posyłano do Galicji pieniądze. Tak n. p. w czerwcu 1863 r. przysłał Rząd Narodowy 150 000 złp. na potrzeby administracji w Krakowie, 333 333 złp. 10 gr. na potrzeby administracji we Lwowie i 500.000 złp. na zakupno broni dla oddziałów. Województwo lubelskie przysłało do Rzeszowa 100 000 złp. dla oddziału Waligórskiego, Edmundowi Różyckiemu na uformowanie jego oddziału przysłano z Krakowa 200.000 złp. nadesłanych przez Rząd Narodowy. We wrześniu zarząd Podola wyasygnował 50 000 rubli galicyjskiemu naczelnemu wodzowi ziem ruskich (temu samemu Różyckiemu). Poprzestaję na tych cyfrach, dowodzących jasno, jaki rezultat był akcji komitetów. To też nie dziwmy się, że Szujski w 14. numerze pisma *Naprzód* ostro występował przeciw małej ofiarności arystokracji i osób majętnych, a w numerze 10 gromił obojętność galicyjską. Nie dziwmy się, iż Stanisław Jarmund nazywa Galicją „dziurawym workiem, do którego wrzucano wszystkie materjalne zasoby, jakie wydobyć się dały czy to w samej Galicji, czy na Wołyniu, Podolu lub Ukrainie, czy wreszcie w Królestwie, wycieńczonem walką. A wszystko, co ten worek pochłonął, przepadało bez żadnej prawie korzyści".*)

Wobec tego stanu rzeczy trudno się dziwić rezultatom. Oprócz wyprawy Kurowskiego pod Miechów, od marca aż do września z różnych obwodów zachodniej Galicji wyszły następujące oddziały: Grekowicza w sile 600 ludzi, Wierzbickiego i Mossakowskiego (300 ludzi), Miniewskiego (ilość ludzi niewiadoma), Rumowskiego i Denisowicza (300 ludzi), Rogalińskiego 60 koni, Mycielskiego (liczba niepodana), Popiela 100 koni, Krukowieckiego (500 ludzi), Taniewskiego (400 ludzi) i Jordana Wszystkie te oddziały razem wziąwszy nie wynosiły więcej jak 3000 do 3 200 ludzi i wszystkie, z wyjątkiem oddziału Krukowieckiego, zostały natychmiast po przejściu rozbite i powróciły do Galicji najczęściej bez broni.

Czy można z tego stawiać zarzut braku dobrej woli komitetom? Nie! — o złą wolą ich podejrzywać nie wolno. Zapewne, że pragnęłyby, ażeby był większy ład, większy porządek, zapewne, że chciałyby więcej zebrać pieniędzy, zapewne, że chciałyby dobrze formować oddziały i nie narażać ich na rozbicie. Chciały, ale nie umiały, wzięły się nie do swojej rzeczy, nie posiadały energji, traciły czas na kłótnie w obronie swych przywilejów.

Opinja o tych komitetach konserwatywnych, sławionych przez p. Koźmiana, a które się same narzuciły Rządowi Narodowemu, jest od dawna ustalona na podstawie materjałów i licznych pamiętników. Wiemy już, jakie zdanie wyrażały o nich różne relacje i petycje przesyłane do Rządu Narodowego, który zresztą sam przez usta komisarza Galicji zachodniej w cyrkularzu przytoczonym przez p. Koźmiana, a w części przezemnie podanym, nie inaczej zapatrywał się na rezultaty działalności tych komitetów Mamy też w „Materjałach" odezwę do obywateli wschodniej Galicji z dnia 1. września, która w słowach najwyższego oburzenia, piętnuje targi komitetu z Rządem Narodowym. Odezwa ta, którą swoją drogą czyta się z wielkim niesmakiem, bo czyni wrażenie pamfletu stronniczego, mówi o „buncie", o „zmarnowaniu niedołęstwem krwawego grosza", o „oszczerstwach rzucanych przez komitet na Rząd Narodowy", o „podłych intrygach", „niecnych podbechtywaniach" itd. Autor tej odezwy nie powstrzymuje się od zarzucenia komitetom „najhaniebniejszego czynu, denuncjacji". Z całej tej szumnie napisanej, pełnej frazeologji odezwy, zasługuje na uwagę ustęp, iż komitety „nie myślały o zwycięstwie, ale o przedłużeniu zbrojnej demonstracji za jaką uważały powstanie, które według nich nie ma innego celu, jak sprowadzenie obcej interwencji". To zdanie dlatego mianowicie zasługuje na uwagę, iż p. Koźmian zawsze i wszędzie nietylko tę samą myśl wyraża, ale używa nawet stale i z upodobaniem określenia powstania przez wyrazy „zbrojna demonstracja".

A teraz z kolei przychodzi za świadka pan Alfred Szczepański.

W pierwotnym tekscie mojej recensji napisałem krótko: „Nie chcę przytaczać cytat z broszury Alfreda Szczepańskiego ze względu, iż autor nie przebierał w wyrazach i zarzucał daleko więcej komitetom, niż samo niedołęstwo". Wstręt mnie po prostu brał do broszury „W tył", wydanej przez tego autora w czerwcu 1863 r. na Szląsku, siejącej wściekłą nienawiścią do konserwatystów, oskarżającej ich o wszelkie zbrodnie i proponującej środki godne zaiste dzisiejszych anarchistów.

Ale od czasu napisania mojej pierwotnej, recenzji zmieniła się sytuacja. Ogłoszono w *Czasie* list p. Alfreda Szczepańskiego, pisany niby do jakiegoś [illegible] p. Koźmiana. P. Szczepański [illegible] tego d[illegible] larne [illegible] ga na[illegible] na się [illegible] ko do [illegible] Horki [illegible] daczy[illegible] że on [illegible] napisa[illegible] broszu[illegible] (są je[illegible] trochę [illegible] rad b[illegible] Radby[illegible] tając" [illegible] zachw[illegible] teresu [illegible] ślał w r. 1863 [illegible] leje m[illegible] nim o[illegible] v. koźmianowskiej [illegible] wnia, [illegible] radzi, [illegible] cytują[illegible] z jego broszury: „W tył".

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Stanisław Jarmund Wspomnienie z pobytu w Galicji w roku 1863. Lwów 1893, str. 9.

na ostatniem posiedzeniu izby w tej sprawie, lecz zawiadomił interpelanta o jej treści. Jak *Wiener Abendpost* donosi, treść odpowiedzi była: „Zakłady kontumacyjne zaprowadzono przymusowo w Galicji i na Bukowinie z powodu grasującej często w tych krajach swego czasu zarazy pyskowej i racicowej, a przymus kontumacyjny był środkiem utrzymania eksportu bez narażania innych krajów na znaczniejsze niebezpieczeństwo zarazy. Od tego czasu jednak — dzięki energicznemu wykonywaniu policji weterynaryjnej — kraje te były przez dłuższe periody od zarazy pyskowej i racicowej wolne, a gdy zaraza wybuchła, to ograniczała się na bardzo małe terytorjum. Tem samem ustała potrzeba zachowania przymusu kontumacyjnego. Nie da się zaprzeczyć, że skutkiem jego zniesienia dochody zakładów kontumacyjnych miejskich w Białej i w Krakowie doznają uszczuplenia, których wysokość jednak na razie obliczyć się nie da. Przyszły rozwój handlu nierogacizną w tych miastach zależeć będzie od ruchliwości zarządów miejskich; wszak i po zniesieniu przymusu posiadać one będą targi na nierogaciznę tak znakomicie urządzone, jak nigdzie w Europie. Nie ma więc powodu przypuszczać, ażeby targi w obu tych miastach nie prosperowały tak n. p. jak targ w Wiener Neustadt, który wprawdzie także dobrze — lecz nie tak świetnie, jak tamte — jest zorganizowany, a gdzie nigdy przymusu kontumacyjnego nie wykonywano. W każdym razie rząd popierać będzie interesa obu tych targowisk jaknajusilniej i w tym względzie dał namiestnikowi Galicji odpowiednie wskazówki."

Okropna tragedja rozegrała się w tych dniach w domu tkacza Jungaitscha, zamieszkałego w Krickkwiese pod Langwaltersdorfem. Córka jego, którą przed trzema laty wypuszczono z domu obłąkanych jako uleczoną dostała ponownego napadu szału i nożem kuchennym poderżnęła ojcu gardło, a następnie całe ciało pokrajała na drobne kawałki i jadła je przez kilka dni. Straszny ten czyn spostrzeżono dopiero po paru dniach i dano znać prokuratorji, która nieszczęsną córkę uwięziła. Z uwagi na jej stan umysłowy ukarana nie będzie.

Buty podrożeją. Austrjacy fabrykanci *en gros* butów, boją się, że pójdą bez... butów. Zagraża im rzekome podrożenie materjału surowego, z tej więc rzekomej racji zgromadzili się w wiedeńskim hotelu „Continental", aby naradzić się nad ochroną swoich interesów. Zgromadzeniu przewodniczył niejaki p. Hirsz, miljoner. Wynik zgromadzenia nie wesoły: Uchwalono, iż już od września rb. podrożeją buty, w stosunku do gatunku, o 5 do 10%. Nie ma co mówić, panowie *grosiści* chcą uszyć nam buty, co się zowie.

Pożar teatru. Onegdaj, dnia 24. b. m. padł śliczny teatr w Bonn pastwą płomieni. Ogień powstał w nocy; przyczyna pożaru jak dotąd nie wiadomo. Z ludzi tylko jedna dziewczyna odniosła silne poparzenia.

Wpływ kolonij letnich. Dr. Goepel z Frankfurtu nad Menem, zajmujący się od dawna sprawą kolonij letnich dla ubogich dzieci, poczynił szereg ciekawych badań, na mocy których zbija twierdzenie, jakoby poprawa zdrowia na koloniach mały tylko i krótkotrwały wpływ na dalszy rozwój młodego organizmu wywierała. Dr. Goepel miał sposobność śledzić i badać aż do dojrzałego wieku wielką bardzo liczbę dawniejszych wychowańców kolonij letnich frankfurckich i o wpływie kolonij wyraża się jak najpochlebniej. Opierając się na porównaniu wagi ciała, jego długości i innych wskazówkach, świadczących o stopniu rozwoju i stanu zdrowia danego osobnika, znalazł znaczną różnicę w rozwoju tych dzieci, które z kolonij korzystały, na niekorzyść tych, którym wpływ kolonij nie było danem zakosztować. Szczególniej dobroczynnym okazał się wpływ na koloniach dla mało rozwiniętych cieleśnie, w ogóle wycieńczonych, wreszcie dla skrofulicznych i podejrzanych o skłonność do suchot płucnych. „Wielu tym biedakom — pisze dr. Goepel — dały kolonje trwałe podwaliny dalszego rozwoju, a zatem i zdolności do życia i pracy".

Nowa ustawa aptekarska wejść ma w życie w Rosji. Pomiędzy innemi wyszczególnić dla chcących poświęcić się zawodowi aptekarskiemu, że stopień pomocnika aptekarskiego, podwyższone ma być z czterech do sześciu klas gimnazjalnych.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W Teatrze letnim: Dziś w sobotę „Porwanie Sabinek", komedja w 4 aktach Franciszka i Pawła Schönthan'ów. Piąty gościnny występ pana Mieczysława Frenkla, artysty teatrów warszawskich; jutro w niedzielę „Wicek i Wacek", komedja w 4 aktach Z. Przybylskiego. Szósty gościnny występ pana Mieczysława Frenkla; w poniedziałek przedstawienie na dochód wdów i sierót po literatach i artystach po raz drugi „Mężowie ich córek", komedja w 3 aktach P. Wolff'a. Występ pana Mieczysława Frenkla. W antraktach odśpiewa p. Stanisław Sienkiewicz kilka pieśni.

Teatr.

(*„Mężowie ich córek", komedja P. Wolffa.*)

Chciano nam we czwartek pokazać coś nowego i dano nam próbkę realizmu, zakosztowaliśmy nowej potrawy, a pozostał po niej jedynie smak przykry i cierpki. Realizm a realizm — jakaż to olbrzymia różnica! Sudermannowi nie powie chyba nikt, że nie jest realnym — ale jest on równocześnie estetycznym — umie on budzić grozę, ale nie wywołuje odrazy — i p. Wolff jest realnym, ale budzi wstręt, a nie przejmuje grozą. Wczorajsi „Mężowie ich córek" zdają się być potrawą przygotowaną dla tych, którzy przesyceni chcą odzyskać smak i apetyt za pomocą bardzo niesmacznych przypraw.

„Mężowie „ich" córek" — to mężowie córek śpiewaczek kawiarnianych, córek, które po swych matkach odziedziczyły spory majątek; żenią się oni z nimi dla tego, aby módz przehulać i przegrać w karty grosz „Bóg wie w jaki sposób zapracowany", a po tem w chwili uniesienia cisnąć córce w oczy obelgę, iż „dali im swe nazwiska i stąd mają prawo robić z posagiem żony, co im się tylko żywnie podoba". Czy to jest regułą — wątpimy, że mogą istnieć takie wyjątki, chcemy wierzyć. Nie każdy mąż „jej" córki będzie kanalją na wzór Henryka, nie każda „jej" córka będzie aniołem dobroci na wzór Zuzanny. Na „wyjątkach" oparł p. Wolff swoją teorję i być może, że „wyjątkowo" nie dowiódł nam niczego, pomimo, iż się o to starał usilnie.

Nie widzimy najmniejszej potrzeby wdawać się w szczegółowy rozbiór tendencji sztuki, jest ona dla nas obcą i oby nią na zawsze pozostała, natomiast co do układu scenicznego, to możemy autorowi powinszować zdolności nużenia uwagi widza i słuchacza. Te djalogi nużą i nuży ten brak akcji. „Komedja" ta może być dobrą w czytaniu, ale na scenie trochę inaczej wyglądać powinna, jeżeli ma robić wrażenie. Być może, że p. Wolff chciał stworzyć jakieś nowe prawidła sceniczne, zerwać z zapleśniałą tradycją, ale i tu chybił celu, gdyż nie zajął uwagi widza, ale ją znużył.

Z prawdziwą przyjemnością patrzyliśmy się wczoraj na grę naszych artystów, którzy poświęcali pracę swoją i talent dla takiej jednodniówki. Jeżeli coś trzymało widzów w teatrze, to równa, dobra i starannie opracowana gra wszystkich. Takiej gry szkoda było dla takiej sztuki.

Pan Frenkel w roli poczciwego do szpiku kości ojca „kanalji" Henryka, ukazał nam nowy rys swego wielkiego talentu — w jednej jedynej scenie z aktu trzeciego, w scenie z Zuzanną, w scenie, dla której zapewne przedstawił nam Diwoira, wzruszył audytorjum do głębi. Scena ta odegrana była po mistrzowsku i opisać słowami się nie da. Trzeba ją widzieć koniecznie, aby módz mieć o niej pojęcie. Inne ustępy tej roli, choć miejscami słabo przez autora naszkicowane, budziły zajęcie jedynie tylko dzięki wybornej mimice i pięknej dykcji artysty.

Dwie główne postacie sztuki, to jest Zuzanna, „jej" córka i Henryk, mąż „jej" córki, znalazły doskonałych wykonawców w osobach pani Kwiecińskiej i p. Hierowskiego.

Pani Kwiecińska przejęła się rolą swoją do tego stopnia, że w niektórych miejscach grą swoją zbliżała się zupełnie do prawdy. W akcie drugim, skreślonym jakby umyślnie dla zniszczenia widza, wraz z tą nieszczęśliwą ofiarą, nad którą się znęcał kanalja mąż, ten też akt odegrany był najlepiej. Wrażenie, jakie mógł po sobie pozostawić, zepsuł sam „realny i wyjątkowy" autor, który zrozpaczonej kobiecie każe wołać z za sceny trywialne „nie jem obiadu". Może to tak każe ten najnowszy realizm, ale estetyczne to nie jest. Szczerze winszujemy wykonania tej roli pani Kwiecińskiej i ubolewamy zarazem nad tem, że straciła tyle pracy nad postacią, której zapewne już nie ujrzymy więcej.

Pan Hierowski zrozumiał swego Henryka doskonale i rolę łotra z pod ciemnej gwiazdy, szubienicznika, karciarza i szulera, słowem kanalji pierwszej klasy, odegrał z wielką miarą artystyczną i spokojem, za co należą mu się szczere słowa uznania.

Rolę babci Augustyny, matki szansonetki, powierzono pani Gostyńskiej, która ją wykonała z tem charakterystycznem zacięciem, jakie tej artystce jest właściwem, które wszyscy znamy i które chyba już pochwał nie potrzebuje.

Matkę gagatka Henryka, psującą go i zaślepioną w nim aż do idjotyzmu odegrała dobrze pani Otrembowa, choć jako żona handlarza węglami była trochę zanadto salonowo elegancką.

Nie potrzebnjemy chyba dodawać, że artystom dziękowano za ich wyborną grę przeciągłemi oklaskami, niejednokrotnie przy otwartej kurtynie. *(pa)*

Ostatnie wiadomości.

Półurzędowa *Pol. Corr.* pisze: Przesłana nam z Rzymu wiadomość potwierdza, że grecko katolicki arcybiskup we Lwowie ks. dr. Sembratowicz znajduje się między książętami kościoła, którzy w najbliższym konsystorzu mają zostać kardynałami. W obec tego jednak, że liczba mianować się mających kardynałów wynosi tylko siedm lub ośm, a pomiędzy kandydatami do tej godności znajdują się nuncjusze apostolscy, biskupi rozmaitych państw i prałaci kurji, nie jest wykluczoną ewentualność, że udzielenie purpury arcybiskupowi Sembratowiczowi odroczonem zostanie do późniejszego konsystorza.

Rząd serbski postanowił wprowadzić wielkie oszczędności we wszystkich działach administracji państwowej, zredukować ile możności liczbę urzędników, przy wyborze ich jednak pominąć w zupełności stanowisko polityczne i partyjne kandydatów.

Przebywający w Berlinie Francuzi mają zamiar obchodzić rocznicę dwudziestą piątą wojny roku 1870 w ten sposób że na grobach zmarłych w niewoli żołnierzy francuskich, pochowanych na cmentarzu garnizonowym mają być złożone wieńce i wygłoszone mowy. Uroczystość ma być obchodzona z wielką okazałością.

Gazetta Piemontese donosi, że papież przedsięwziął kroki, aby wbrew intencjom nieprzyjaznych umożliwić następne *conclave* w Rzymie. Wreszcie zmierza także papież do formalnego zniesienia faktycznie jednak od dawna niewykonywanego prawa *veto* katolickich mocarstw przy wyborze papieża.

Wobec tego, że nie ma widoków, aby nowa węgierska ustawa małżeńska miała uledz rewizji, przemawia organ klerykalny *Magyar Allam* za tem, aby katolicy, nie mogąc obejść przepisów o ślubach cywilnych, żyli raczej w konkubinacie. Doradza mianowicie wspomniany organ wiernym katolikom, aby wobec dwóch świadków zgłosili do duszpasterza zawarcie małżeństwa, co według przepisów soboru trydenckiego wystarcza do kościelnego uznania małżeństwa, mimo, że państwo tego rodzaju związki będzie poczytywało za konkubinaty. Aby zabezpieczyć los dzieci, powinni ojcowie, zgłaszając urodziny do metryk państwowych, uznać te dzieci za legalne, a nadto powinno się przy sporządzaniu testamentów baczyć na to, by dzieci z powodu braku państwowego uznania tych związków nie poniosły szkody.

Sułtan nadał bawiącemu teraz w Stambule kedywowi egipskiemu Abbasowi osmański order domowy. W urzędowem obwieszczeniu powiedziane, że wyszczególnienie następuje w uznaniu przywiązania wice-króla do osoby i tronu sułtana i usług wyświadczonych Turcji. Wspomniany order posiadają dotychczas jedynie cesarscy książęta, a z obcych władców jedynie cesarz niemiecki Wilhelm II.

Hamburgische Corresp. dowiaduje się, że podczas odwiedzin, jakie złożył kanclerz rzeszy ks. Hohenlohe cesarzowi Franciszkowi Józefowi w Ischl, omawiane miało być obecne położenie polityczne, zawierające dla Austrji pewne niedogodności. Wobec tego — piszą *Hamb. Nachr.* — nie mają powodu niektórzy politycy niepokoić się tem, że cesasz Wilhelm zawezwał niemieckiego ambasadora z Wiednia i polecił mu towarzyszyć sobie w podróży do Szwecji.

Niektóre dzienniki petersburskie notują pogłoskę o zamiarze zaprowadzenia naczelników ziemskich na Litwie. Jeżeliby pogłoska ta miała się sprawdzić, byłoby to nader smutnym objawem coraz bardziej szerzącego się wstecznictwa w rządzie rosyjskim. Sądzimy jednakże, iż wiadomość ta jest przedwczesną — i oby się okazała bezpodstawną! — gdyż trudno przypuścić, ażeby rząd miał jeszcze rozszerzyć obszar eksperymentu z tą anormalną instytucją, i to po zgodnej kampanji całej prasy rosyjskiej, która z wyjątkiem chyba samego tylko *Grażdanika*, energicznie domagała się w ostatnim czasie zniesienia tego poronionego dzieła b. ministra Tołstoja nawet w tych kilku gubernjach rosyjskich, w których instytucję naczelników ziemskich zaprowadzono na próbę. Dotychczasowe doświadczenie dowiodło, iż naczelnicy ziemscy, łączyły w jednej osobie władzę administracyjną z władzą sądową, nigdzie prawie nie zadowolili ogółu ludności, i zaprowadzenie tego urządzenia przyczyniło się tylko do wprowadzenia zamętu do zarządu lokalnego. Czyżby wbrew doświadczeniu i powszechnej opinji publicznej rząd rosyjski chciał nietylko utrzymać instytucję naczelników ziemskich w dotychczasowym zakresie, ale jeszcze rozszerzyć to urządzenie na całą Litwę?!

W sprawie abisyńskiej sfery petersburgskiej zwracają uwagę na następującą okoliczność: że traktat, zawarty między rządem włoskim, a negusem Menelikiem 23 października 1889 w mieście Ucziali, głosi wyraźnie, że Menelik zgadza się korzystać z usług włoskiego rządu w stosunkach z obcemi mocarstwami, a nie powiedziano w nim, że jest obowiązany używać tego pośrednictwa. Nadto rząd rosyjski, Stany Zjednoczone i Turcja nigdy nie uznały tego traktatu. Owszem zmarły minister Giers oficjalnie oświadczył włoskiemu posłowi dnia 18. grudnia 1889 roku, że ten traktat wywołuje ze strony Rosji *„quelques observations"* (kilka uwag). W następnym roku, mianowicie dnia 22. stycznia 1890 roku, rosyjski poseł w Rzymie poczynił rządowi włoskiemu ustne uwagi o tym traktacie. W odpowiedzi na to, Crispi w kilka dni potem wystosował do niego urzędowe pismo, w którem znajdują się następujące wyrazy: *„Nous sommes convaincus, que la Russie n'aura aucune difficulté à reconnaitre l'etat de choses, que nous avons notifié"*. (Jesteśmy przekonani, że Rosja nie znajdzie żadnych trudności do uznania stanu rzeczy, o którem jej donieśliśmy). Rosja nic na to nie odpowiedziała. Z tego jasno wynika, że rząd petersburski nie unał nigdy żadnych specjalnych stosunków między Abisynją a Włochami.

Sprawy bułgarskie.

Wczoraj popołudniu około godziny czwartej, na polu kukurydzowem, pod wsią Bojana, na godzinę drogi od Sofji, żołnierze aresztowali niejakiego Iwanowa, który oświadcza, że jest studentem z Widdynia. Na plecach i pod szyją miał Iwanow silnie krwawiącą się ranę; zdaje się nie ulegać wątpliwości, że rana ta pochodzi z wystrzału rewolwerowego Guncza i że Iwanow jest jednym z morderców Stambułowa. Iwanow leżał na polu, osłabiony upływem krwi i głodem; ma najwyżej lat 20.

Köln. Ztg donosi z Petersburga pod datą 24. lipca: W odpowiedzi, jaką metropolita Klemens odwozi stąd do Bułgarji, znajduje się żądanie, aby syn księcia Koburgskiego przeszedł na prawosławie, choćby nawet ojciec św. miał za to obłożyć karami kościelnemi księcia Ferdynanda. Po wyrażeniu przez prasę europejską sądu o zachowaniu się księcia przed i podczas zamordowania Stambułowa, jest on uważany za człowieka, z którym już liczyć się nie potrzeba. Tymczasem jednak zaczynają w Bułgarji powtarzać imię syna ks. Aleksandra, z tym dodatkiem, że dziewięć dziesiątych części ludności obwoła go z łatwością przyszłym władcą. Rosja może wobec syna naprawić to, co zawiniła wobec ojca.

Na dworcu kolei w Petersburgu kolonja bułgarska żegnała metropolitę Klemensa i innych członków deputacji bułgarskiej, która, jak wiadomo, udała się do Moskwy. Dr. Walew odczytał w imieniu kolonji bułgarskiej adres i wręczył go metropolicie tyrnowskiemu. Adresu łożony był w górnolotnych słowach, wysławiających zasługi metropolity Klemensa, jako kapłana, pisarza i patrjoty, który wzmocnił na zawsze węzły miłości bratniej, łączącej naród bułgarski z pokrewnym i współną wiarę wyznającym narodem rosyjskim, oswobodzicielem Bułgarji.

W odpowiedzi na adres metropolita renegat odezwał się mniej więcej w te słowa: „Wysłuchawszy was, zrozumiałem, że zrobiłem coś szczególnego, krzepiąc was w ciuciach wiecznej wdzięczności względem Rosji, naszej wyzwolicielki. Będę wznosił modły do Boga, ażeby te uczucia rosły i wzmacniały się, gdyż jedynie na tej podstawie opiera się pełna chwały przyszłość naszej drogiej Ojczyzny... „Jeżeli kochacie Ojczyznę, to uczcie się od Rosji kochać braci w krwi i wierze. Historja przeszłości Rosji pełną jest bezinteresownej i wyzwalajacej miłości ku Słowianom. Rosja wyzwoliła wiele plemion słowiańskich, zerwała także pęta Bułgarów. A czemże Bułgarzy odpłacili jej za przelaną dla ich dobra krew rosyjską? Niedowierzaniem i niewdzięcznością! Pomimo tego, zaledwie wstąpiliśmy na ziemię rosyjską, Rosja otworzyła dla nas bogatą miłością swe serce i wyciągnęła do nas dłoń bratnią. Zapominając o naszych błędach, Rosja okazała nam niepamiętną w dziejach wspaniałomyślność. Wielkim jest naród, który tak postępuje, jak Rosja obecnie z nami postąpiła."

Znany publicysta i były dyplomata Tatiszczew zamieszcza w *Russkim Wiestniku* niegdyś organie Katkowa, artykuł w obronie (!) ks. Ferdynanda bułgarskiego. W artykule tym powiedziano: „Jeżeli książę Ferdynand, jak zapewniają członkowie deputacji, jest przyjacielem Rosji, to co zyskać może na tem Rosja, jeśli, odmawiając mu swego uznania, zmusi go do abdykacji? Następstwa takiego przewrotu są nieobliczalne. Mogłoby to sprowadzić w Bułgarji nieład i nowy okres terroryzmu, którego Rosja prawdopodobnie nie byłaby w stanie stłumić, ponieważ nie ma odpowiedniego kandydata do tronu bułgarskiego. Zachodzi więc obawa, że ewentualne usunięcie ks. Ferdynanda mogłoby zgotować Rosji więcej trudności politycznych, niż zgotowały jego ośmioletnie rządy w Bułgarji."

Telegram „Dziennika Polskiego".

Sofja 26. lipca. Oskarzenie, jakoby Stambułow, będąc u steru władzy, zbogacił się, jest wierutnym fałszem.

Według urzędowo spisanego inwentarza majątek wynosi około 250 000 franków, z czego należy wypłacić 130 000 fr. długów hypotecznych i 50.000 fr. wekslowych.

Swoboda ogłasza dwa listy, w których Stambułow jeszcze w maju r. b. prosił księcia, aby się nad nim zlitował, kazał mu wydać paszport zagranicę i tym sposobem ochronił go przed nieprzyjaciółmi, którzy czyhają na jego życie. Prośby Stambułowa nie odniosły pożądanego skutku, książę bowiem nie raczył nawet odpowiedzieć.

Współczucie księcia, jego kondolencja, przesłanie wieńca, chęć pochowania Stambułowa na koszt rządu i t. d. są tylko prostą komedją, farsą odegraną w obliczu Europy. Żądna władzy i uznania przez mocarstwa Francuzica z niedołęgi księcia zrobiła bardzo niezręcznego pajaca.

Telegramy „Dziennika Polskiego."

Wiedeń 26. lipca. Dr. Plener miał w Chebie długą mowę pożegnalną, której treścią było to, iż ustąpił jedynie tylko dla tego, ponieważ nie udało mu się załatwić kwestji cylejskiej.

Pan Plener z zadowoleniem mówił o swej działalności w przeszłości, udało mu się bowiem przeprowadzić regulację waluty i znaczną część reformy podatkowej. To, że przyjmuje urząd państwowy, jest zupełnie naturalnem w obec jego przeszłości, daleko gorzej byłoby dla niego, gdyby się cofnął zupełnie z życia publicznego.

Na miejsce Plenera ma być wybrany dotychczasowy poseł sejmowy Groeger.

Wiedeń 26. lipca. Według *Polit. Corresp.* od 3. do 6. lipca rb. zdarzyło się w gubernji wołyńskiej 93 zasłabnięć i 25 wypadków śmierci na cholerę.

Praga 26. lipca. Dzienniki tutejsze głoszą, iż w przyszłym gabinecie szef sekcyjny Latour będzie ministrem oświaty, zaś członek izby panów, starszy prokurator państwa Gleispach ministrem sprawiedliwości.

Paryż 26. lipca. *Figaro* publikuje szczegóły sojuszu franko-rosyjskiego. Inne dzienniki bez wyjątku uważają to za prostą kaczkę bulwarową.

Sofja 26 lipca. Powstanie w Macedonji wzmaga się coraz więcej.

Rzym 25. lipca. W izbie deputowanych odpowiadał minister Blanc na interpelacje w kwestji abisyńskiej. Traktat abisyńsko włoski uznały wszystkie mocarstwa, nie wyłączając Rosji. I teraz to ostatnie mocarstwo oświadczyło Włochom, iż jest interesowanem w Abisynji tylko w kwestji religijnej (?!?).

Minister udowadniał, iż pozycja Włoch w Etjopji jest zupełnie legalną i że postępowanie negusa Menelika jest zdradzieckiem.

Niemcy i Anglja zarządziły odpowiednie środki, aby przeszkodzić dostawom broni do Etjopji.

W rezultacie skonstatował minister, iż położenie Włoch w Abisynji nie pozostawia nic do życzenia.

Wiedeń 26 lipca. Wczoraj po zamknięciu giełdy południ. notowano: kredyty 397 75, węg. kredyty 486·—, anglosy 174·50, laenderbanki 278 5, sztacbany 428 75, lombardy 110 64, elbethale 296 50, tytoniowe 237·—, alpiny 93·70, renta majowa 100 60, węg. złota —·—, austr. koronowa —·—, węg. koronowa 99·85, los turecki 78 86 uniony 350 50

Berlin 26. lipca. Giełda wczorajsza wieczorna kursa końcowe. (W nawiasie podane cyfry oznaczają porównawczy kurs wiedeński t. zw. Wiener Paritat) Kredyty 245 50 (397·70), lombardy 46 50 (110·30), węg. renta złota 103 50 (123·12), ruble —·— (— —).

Frankfurt 25. lipca. Giełda wczorajsza wieczorna kursa ostatnie (W nawiasie podano cyfry oznaczają porównawczy kurs wiedeński) Kredyty 334 — (398 01) lombardy 95 25 (110 30), renta węg. złota —·— (— —) koronowa —· (—·—).

Wiedeń 26. lipca. Urzędowy wykaz handlu zagranicznego monarchji austro węgierskiej stwierdza, że w miesiącu czerwcu przywóz był o 3,500.000 zł. większy aniżeli wywóz. W pierwszym kwartale 1895 roku przywóz przedstawił wartość 365,400.000 zł., wywóz 348,000.000 zł. Pasywa bilansu handlowego wynoszą tedy 17,400.000 zł.

Wiedeń 26. lipca. Donoszą z Budapesztu, iż tamtejsza kasjerka w kawiarni Marja Pietruska (?) w dziwnie tajemniczy sposób zamordowaną została. Mordercy dzikość swoją posunęli do tego stopnia, iż ciało zamordowanej posłali w kufrze jej rodzicom.

Wiedeń 26. lipca. *Neue fr. Presse* zarzuca Plenerowi bez ogródek, iż nie powinien był przyjąć posady prezydenta w najwyższym trybunale rachunkowym.

Wiedeń 26. lipca. *Corriere di Gorisia* ogłasza pismo hr. Fr. Coroniniego, w którem on oświadcza, iż składa swój mandat posła do rady państwa.

Ischl 26. lipca. Hr. Gołuchowski odwiedzi dziś ks. Hohenlohe, niemieckiego kanclerza, bawiącego w Ausseo.

Bochum 26. lipca (Westfalia). W szybie „Książę pruski" wskutek wybuchu gazów zginęło 30 górników a 9 jest ciężko rannych.

Cheb (Eger) 26 lipca. Tutejsza izba handlowo-przemysłowa uchwaliła adres do dra Plenera. Dano w nim pogląd na 23 letnią wielce skuteczną i zaszczytną działalność parlamentarną dra Plenera i powiedziano, że wszyscy, czy przyjaciele, czy przeciwnicy sławią charakter bez skazy tego męża. Adres wyraża w końcu nadzieję, że polityczna jego działalność nie ukończy się ze złożeniem mandatu i że tyle wypróbowana siła zostanie rychło powróconą życiu politycznemu.

TELEGRAM GIEŁDOWY

Wiedeń, dnia 26. lipca godz. 2. min —.

Akcje kred.	399 12	Wied. losy	— —
Alpiny	93 25	Akcje tytoń.	238 75
Kredyty węg.	486 50	4% Poż. kraj. z r. 1893	98 20
Anglobanki	174 50	Elbethale	296·25
Uniony	349 50	Länderbanki	277 75
Ludwiki	— —	Renta zł. węg.	123 40
Nordbany	—·—	Bankvereiny	166 50
Lombardy	111 62	Wspólna renta p.	100 60
Losy tureckie	78 50	Ruble	130 —
Staatsbahny	430 25	100 marek niem.	59 25
Czerniowieckie	323 —	Napoleond'ory	9 59
Gal. obl. prop.	98 20		

Przyjechali do Lwowa

dnia 26 lipca 1895

HOTEL ŻORZA. M. Szaszkiewiczowa z Wołynia. J. Szegler d'Eberswald z Krzeszowic. P. Tyszkowski z Rybotycza. Dr. M. Straszewski z Krakowa. Dr. K. Kobryniec z Brzeżan K. Zenowicz z Podola ros W. Bartz z Wołynia. R. Drahanowsky z Kamionki Strum.

HOTEL EUROPEJSKI. M. Szymański z Brzeżan. St. Milewski z Bilcza. Ks. W. hr. Wiśniewski z Krystynopola. Dr. F. Seifmann, H. Wachtel z Krakowa. M. Bogdańska z Władypola E. Münz ze Stanisławowa. M. Dolleschall z Czerniowiec. Ks. L. Lewicki z Firlejówki M. Moszczański z Sieczy M. Czarnecka z Dobrzan Dr. L. Mikulski z Wołynia. J. Marek z Podwołoczysk. J. Krzysztofowicz z Medzelówki Dr. W. Weygert z Podlisek. S. Dankner z Wiednia.

TEATR LETNI.

Dziś:

Gościnny występ **Mieczysława Frenkla** artysty teatrów warszawskich.

Porwanie Sabinek

komedja w 4 aktach Franciszka i Pawła Schönthanów.

OSOBY:

Marcin Goliwitz, profesor	Żelazowski
Fryderyka, jego żona	Otrembowa
Paulina, ich córka	Czaplińska
Dr Neumeister	Hierowski
Marja, jego żona	Kwiecińska
Karol Gross	Gasiński
Emil Grand, zwany Sterneck, jego syn	Kliszewski
Emanuel Striese, dyrektor teatru	Frenkel
Rózia, służąca Goliwitzów	Gostyńska
Augusta, służąca Neumeistrów	Kowalska
Meisner, pedel z gimnazjum	Kwiatkiewicz

Rzecz dzieje się w małem miasteczku za naszych czasów

Jutro „WICEK i WACEK" komedja w 4 aktach Zygm. Przybylskiego. Gościnny występ **Mieczysława Frenkla**, artysty teatrów warszawskich.

Drobne ogłoszenia.

FILOZOF.

Przechodzeń pewien widział, stojąc sobie z brzega,
Padające wciąż konie w dystansowym biegu:
Zdechł tuzin, zdycha drugi, zdechnie wkrótce trzeci,
Przechodniowi wnet z oczu łza okrutna leci.
Pyta go więc filozof, za kim tak łzy roni:
— Żal mi — mówi przechodzień — właścicieli koni,
Mieli śliczne rumaki, wspaniałej budowy,
A teraz, spójrz, od trupów pełne wszystkie rowy.
— Nie odrzecze filozof — oszukano pana,
To nie strata, to tylko zwyczajna zamiana,
Z całego jeźdźców dzielnych, jak tu widzisz, tłumu,
Kto tylko stracił konia, ten nabrał rozumu.

— Proszę pana konsyljarza — rzekł pan Feinbube do doktora R. J. — jabym chciał tak samo przeważyć sobie mózg, jak przeważyli mózg Bismarcka. Jak się to robi?

O, to bardzo łatwo — orzekł dr. R. J. — przeważ się pan najpierw tak, jak stoisz; później, powróciwszy do domu, przeważ pan skrupulatnie całe, ale, pamiętaj pan, całe swoje ubranie; następnie wagę ubrania odejmij pan od pierwszej wagi; będziesz pan miał wagę ciała, do której dodaj pan znów wagę ubrania i następnie cyfrę tę porównaj z pierwszą, a różnica, jaka się okaże, będzie dokładną wagą pańskiego mózgu.

— Dziękuję panu konsyljarzowi; zaraz pójdę przekonać się, czy mózg mój cięższy jest od mózgu Bismarcka.

L. 1.287/94. Pr. 1788 1—1

Ogłoszenie konkursu.

Prezydjum Magistratu król. stoł. miasta Lwowa rozpisuje niniejszem konkurs na posadę inżyniera miejskiego Urzędu budowniczego z płacą roczną 1.400 zł. dodatkiem kwaterowym 360 zł. i prawem do dwóch pięcioleci po 200 zł., dalej na jedną ewentualnie dwie posady adjunktów technicznych z płacą roczną 1.100 zł., dodatkiem kwaterowym 300 zł. i prawem do dwóch pięcioleci po 100 zł., następnie ewentualnie na jedną posadę asystenta technicznego z płacą roczną 900 zł., dodatkiem kwaterowym 240 zł. i prawem do dwóch pięcioleci po 50 zł., wreszcie na jedną ewentualnie dwie posady elewów technicznych z adjutum rocznem 600 zł. w. a.

Kandydaci do posad powyższych winni wykazać, iż ukończyli studja techniczne, bądź w instytutach politechnicznych w państwie bądź za granicą na równorzędnych instytutach publicznych, a to na wydziale inżynierji lub budownictwa lądowego, dalej (z wyjątkiem kandydatów na elewów) iż złożyli z dobrym postępem drugi egzamin rządowy dla tych wydziałów przepisanego, następnie, że nie przekroczyli 40go roku życia, a wreszcie udokumentować przebieg dotychczasowego zajęcia.

Podania należycie ostemplowane należy wnosić do Prezydjum Magistratu m. Lwowa do dnia 15. sierpnia 1895.

Lwów, dnia 15. lipca 1895.

Mochnacki m. p.

Co mówią **znane osobistości** o wydawnictwie

„ŚWIAT W OBRAZACH“

Dr. Emanuel Hannak, dyrektor szkoły pedagogicznej w Wiedniu pisze:

„Świat w obrazach“ jest dziełem obrazowem, które przez owe wyborne techniczne wykonanie, oraz wielostronność swoją, nie tylko w rodzinach jako środek do kształcenia i zabawy, się zaleca, ale może być z wielkim pożytkiem zużytkowane jako środek powszechny w nauce geografji, historji i historji oświaty. Obok interesujących krajobrazów widzimy tam i dzieła sztuki z różnych miejscowości. Taniość bo tylko 30 ct. za zeszyt z 16 obrazów, umożliwia rozprzestrzenienie dzieła w najszerszych kołach“.

A. Schaeffer, dyrektor galerji obrazów c. k. muzeum nadwornego dla historji sztuki:

„Świat w obrazach“ jest prawdziwie modną publikacją. Zawiera ona cały rząd malowniczych obrazów ze świata i jego kulturnego życia. Doskonale drukowane podług oryginalnych zdjęć fotograficznych obrazy, mogą stanowić miłą pamiątkę zwiedzonych miejsc, a także do pouczenia. Króciutki tekst, do każdego obrazu dodany, czyta się z przyjemnością. Ta okoliczność, że się w tym „Świecie w obrazach“ w zygzak świat przejeżdża, nadaje wydawnictwu temu rozmaitość, a także charakter luźnych zeszytów, które mogą być później uporządkowane w pewną systematyczną całość.

Z tem wszystkiem możemy wróżyć wydawnictwu pomyślność, tem więcej, że obrazy są nietylko **wierne**, ale także i **dobrze wykonane** i t. d.

Tak samo pochlebnie brzmią świadectwa, wydane przez **Radcę dworu Ottomara Volkmera**, dyrektora c. k. nadwornej i państwowej drukarni, tudzież prezydenta fotograficznego Towarzystwa w Wiedniu;

Jules Simon'a jednego z najznakomitszych francuskich pisarzy i filozofów;

Radcy budownictwa Profesora Juljusza Deiningera, przełożonego Stowarzyszenia sztuk pięknych w Wiedniu;

Zygmunta L' Allemanda, Profesora akademji sztuk pięknych w Wiedniu;

Malarza Józefa Hoffmana, Profesora akademji sztuk pięknych w Wiedniu;

Nadburmistrza Żellego w Berlinie i **wielu innych.**

Numer 4.

przepysznego amerykańskiego dzieła

„Biblioteka familijna dla nauki i rozrywki“

„ŚWIAT W OBRAZACH“

wyszedł i jest do nabycia

w Administracji Dziennika Polskiego we Lwowie, plac Marjacki l. 6 i 7,

w biurach dzienników: Plohna, przy ulicy Karola Ludwika l. 9, **i Olszewskiego,** przy ul. Kilińskiego, oraz **we wszystkich tych miejscach**, gdzie wystawione są artystycznie wykonane plakaty oznajmujące, że tam można nabywać

„Świat w obrazach“

wszędzie po cenie 30 ct. za jeden zeszyt

(na prowincji po 35 centów).

Nr. 4.

„Swiata w obrazach“

zawiera następujące fotografje:

Rue de Rivoli, Paryż.
Dom Szekspira w Stradford-on-Avon, Anglja.
Jaskinia (grota) Fingala, Szkocja.
Królewski zamek w Stockholmie, Szwecja.
Mauzoleum w Charlottenburgu, Niemcy.
Mer de Glace, Szwajcarja.
Colosseum w Rzymie, Włochy.
Panorama Florencji, Włochy.
Salon Marji de Padilla, Alcazar, Sewilla.
Pałac i harem w Aleksandrji, Egipt.
Dolina Kaszmiru, Indje.
Port w Auckland, Nowa Zelandja
Hawanna, Kuba.
Lodowiec Muir, Alaszka.
Kapitol w Wassyngtonie, Ameryka.
Nowy York i most Brooklyn.

Milion egzemplarzy każdego numeru sprzedaje się z tego jedynego w swoim rodzaju dzieła ilustrowanego w Anglji, Francji, Niemczech i Ameryce.

Jak się nabywa? Przez wycięcie poniżej umieszczonego kuponu i oddanie tegoż **w Administracji „Dziennika Polskiego“, plac Marjacki liczba 6 i 7,** w biurze dzienników Plohna, w biurze dzienników Olszewskiego, oraz we wszystkich tych miejscach, gdzie pojedyncze numery „Dziennika“ nabywać można, i za złożeniem **30** ct. za jeden numer.

Na prowincję posełа się „Świat w obrazach“ jedynie za poprzedniem nadesłaniem kwoty **35** ct. za każdy zeszyt. (Ani na rachunek, ani za pobraniem nie posełа się „Swiata w obrazach“) **wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 10., 20. i ostatniego.**

Kupon ten należy odciąć.

Za złożeniem tego kuponu i **30 centów** (pocztą z przesyłką 35 centów) otrzymuje się jeden numer ozdobnego dzieła *„Świat w obrazach“.*

Kupon ten należy odciąć.

Wydawca: Józef Laskownicki. Odpowiedzialny za redakcję Adam Krajewski. Papier z fabryki czerlańskiej. Z Drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Franciszka Kattnera